Cosłychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEN

..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 1/167 17.1.1946 Rok. VII

9D

Str.

OKŁADKA: Teatr w Łazienkach.

OD REDAKCJI

Z okazji Nowego Roku załączamy naszym Czytelnikom serdecznego życzenia wszelkiej pomyślności.

Żywimy nadzieję, że wkrótce „Co Słychać" zacznie znowu wychodzić punktualnie.

CENA NUMERU 9d. PRENUMERATA PÓŁROCZNA 9/-.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH 10. Tel. 52396.

1. ŚWIAT MIĘDZY WIERSZAMI

Już ludzie nie pamiętają daty kiedy zakończyła się wojna, a na świecie kotłuje się jak za najlepszych hitlerowskich czasów. Istnieje przecież jakaś przyczyna tego stanu. Rzadko kiedy deszcz leje z jasnego nieba.

Każde z wielkich mocarstw ma coś na swym sumieniu, lecz grzechów własnych nie chce uznać w żadnym razie.

Egoizm, chciwość i zaborczość panują na świecie jak zawsze. Piękne idee w teorii i miód na języku, a w sercu jad.

Gdy słodkie słówka nie pomagają, zaczynają się groźby lub przetargi. Ameryka szachuje partnerów wysokością i warunkami pożyczek. Anglia udaje trzeciego „wielkiego", a Rosja pcha się na całego, gdy chce coś zająć na zawsze i stwarza fakty dokonane.

Sama stale atakuje i zabiera, co chce a ciągle krzyczy „ratunku, ci reakcjoniści chcą mnie bić".

Szkoda że nie ma na świecie takiego „czwartego", który by mógł wziąść „trzech" za łeb i zaprowadzić rzeczywisty, prawdziwy pokój na tej ziemi.

„CAVALCADE" jak zwykle nabija się z tego wszystkiego. Przeczytajmy, co pisze w wydaniach z dnia 8, 15 i 22 grudnia.

Persja mimowoli stała się grobem spotkań „Wielkiej Trójki". Odmowa Sowietów wycofania czerwonej armii z Persji uważana jest przez prezydenta Trumana za złamanie paktu teherańskiego. Co się więc stanie z układem poczdamskim, który wypłynął z paktu teherańskiego?

Amerykanie są zniecierpliwieni. Mają już dosyć tej jednostronnej zawoalowanej akcji ze strony Rosji. Twierdzą, że tak samo potrafią i oni postępować.

Deklaracja Trumana uczyniła dość głębokie wrażenie w Moskwie. Polityka Kremlinu opierała się na dwu przesłankach: na rządzeniu światem przez „Wielką Trójkę" i rządzeniu Niemcami na podstawie układu w Poczdamie.

Obie te podstawy mogą przestać istnieć. Nawiasem mówiąc Truman nie naradził się z rządem brytyjskim nim ogło-

sił swą deklarację przeciw dalszym spotkaniom z premierem Atlee i generalisimusem Stalinem.

Whitehall, aczkolwiek tak samo zaniepokojony, jak Waszyngton sowiecką odmową, zaskoczony był jednak agresywną inicjatywą Trumana.

Najdalej idące konsekwencje tej akcji będą miały miejsce w Moskwie. Wyzwanie Trumana wzmocni rosyjskich izolacjonistów, którzy doradzają Stalinowi prowadzenie polityki oziębłej i nieangażującej się współpracy aż do czasu, gdy Związek Sowiecki nie zbuduje swej potęgi militarnej w oparciu o nowe techniczne wynalazki. Rozumie się podejrzliwość będzie wzrastała odpowiednio.

OPINIA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Jeden z amerykańskich polityków powiedział korespondentowi „Cavalcade".

„Mamy już dość tej rosyjskiej podejrzliwości. Wkrótce przerodzi się ona w narzędzie szantażu, jeżeli dalej dopuścimy do tego". Oficjalna Ameryka jest nastrojona wojowniczo.

Persja, niezbyt ważna sama w sobie, jest iskrą, mogącą zapalić beczkę prochu, wypełnioną przez Sowiety polityką w Austrii, Bułgarii, Rumunii i Jugosławii.

Wygląda na to, że konflikt dojrzewa. W sześć miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej utworzyły się już dwie grupy: Blok Zachodni i Sfera Sowiecka.

Jednym z najbardziej kłujących bolszewików faktem jest — że anglo-amerykańska współpraca szefów sztabów generalnych nie została przerwana po zakończeniu wojny.

Szczególną uwagą Moskwa obdarza marszałka Maitland-Wilsona, szefa wojskowej misji brytyjskiej w Stanach Zjednoczonych, który uważany jest za moskalofoba.

Co się tyczy Persji, Rosjanie popierają rewolucję w Ajzerbedżanie dla dwuch powodów: po pierwsze aby wprowadzić „przyjazny" nowy rząd, na wzór bałkańskich reżimów, po drugie aby otrzymać koncesję na naftę, o którą Moskwa bez sukcesu zabiegała przed zakończeniem wojny.

Być może, że nastąpią jakieś zmiany w rządzie Persji. Toczą się rozmowy na temat reorganizacji i przeprowadzenia czystki w szeregach policji. Sześciu bezrobotnych ministrów

oczekuje na teki a także pewni wysocy funkcjonariusze policyjni, będący „w dobrych stosunkach" z Moskwą liczą na dobre stanowiska.

Jeżeli uda im się to zdobyć, armia czerwona może i opuści Persję do 2 marca 1946 r.

Nominacja generała George Marshall'a, byłego amerykańskiego szefa sztabu, na ambasadora przy rządzie w Czungkingu też Sowietom śmierdzi.

Marshall jest jednym z najzdolniejszych i najbardziej wydajnym organizatorem na świecie. Czy udał się on po to do Chin, ażeby być wojskowym doradcą Chiang-Kai-shek'a, wkrótce się okaże. W każdym razie świat w ten sposób tłomaczy sobie jego nominację.

Sprawa ta zbiega się równocześnie z odmową Rosji wycofania wojsk z Mandżurii w styczniu, pomimo podpisanego paktu z Chiang-Kai-shek'iem.

Oskarżenie Francji przez generała Eisenhower'a, że jej odmowa scentralizowania zarządu Niemiec wytworzyła obecny potworny stan w Rzeszy, było niespodziewanym ciosem dla Francuzów.

Przed dwoma tygodniami baron de Mourville, prawa ręka generała de Gaulle, udał się do Waszyngtonu dla wyjaśnienia francuskiego punktu widzenia.

Najświeższe plotki z Nowego Yorku donoszą, że książe i księżna Windsor spodziewani są tam wkrótce i że książę prawdopodobnie zaakceptuje stanowisko w przemyśle z gażą 75.000 dolarów rocznie.

Władze brytyjskie w Niemczech mają zamiar ekshumować szczątki Himmlera, pochowanego na nieoznaczonym miejscu.

Chociaż grób nie posiada żadnych znaków, nawet tablicy z nazwiskiem, stał się on miejscem pielgrzymki niemieckich nazistów, którzy zasypują go kwiatami.

Kwiaty dostarczane są przez tę samą podziemną organizację, która usunęła t.zw. „Luneburski Kamień", znaczący punkt, gdzie marszałek Montgomery zaakceptował warunki poddania się pokonanych niemieckich armii w północno-zachodniej Europie.

Nie tylko Marcin Bormann zaginął. Cała jego rodzina zniknęła nagle.

Obrońca Bormanna nadał przez radio hamburskie S.O.S. w celu wykrycia śladu jej pobytu. Anglicy i Amerykanie twierdzą, że przebywają oni w rosyjskiej okupacji, jednak N.K.W.D. zaprzecza tym wiadomościom.

Jeden z wyższych oficerów sowieckiej policji wyraził się że Bormann sprawi jeszcze nielada sensację w rozprawie norymberskiej.

Zastępca Komisarza do spraw zagranicznych — wicekomisarz Wyszyński, ubrany w uniform generała N.K.W.D. obserwował przez dwa dni przebieg rozprawy w Norymbergii.

O przebiegu rozprawy wyraził się złośliwie:

„Za wiele propagandy. Zbyt długo to trwa. Należałoby powiesić ich bez zbytecznych ceremonii".

Wyszyński odgrywał w swoim czasie poważną rolę, jako oskarżyciel w wielkich politycznych procesach w Sowietach.

Był on również kierownikiem tajnej policji, G.P.U. w pierwszych latach rewolucji bolszewickiej. Uważany jest w Rosji za mózg prawniczy pierwszej klasy.

Wizyta Bevin'a i Byrnes'a w Moskwie postanowiona została po trzyminutowej rozmowie telefonicznej między obu tymi ministrami.

Byrnes zatelefonował 4 grudnia do Bevin'a pytając go, czy gotów byłby udać się do Moskwy, celem ruszenia z martwego punktu, na którym utknęły stosunki pomiędzy aliantami.

Bevin aprobował i wtedy Byrnes przesłał propozycję do Moskwy i uzyskał zgodę Mołotowa pod warunkiem, że Francja i Chiny nie wezmą udziału w naradach.

W ten sposób inicjatywa wyszła ze strony Byrnes'a. Prezydent Truman, choć nie miał nic przeciw spotkaniu, pesymistycznie i chłodno zapatruje się na rezultaty tych narad.

Pozycja Byrnes'a, jako ministra spraw zagranicznych nie jest w Waszyngtonie zbyt mocna. Wielu polityków domaga się jego rezygnacji. Wizyta moskiewska daje mu pewne szanse powtórnego wybicia się.

Niedawno ogłoszone oświadczenie Trumana, że domaga się on zmiany układu w Poczdamie, wywołało niepokój Rosji. Polityka Stalina opiera się głównie na tym układzie.

Dopóki nie nastąpi jakieś porozumienie pomiędzy ministrami spraw zagranicznych, strony w dalszym ciągu będą tworzyły bloki i prowadziły politykę izolacji. Nic nie wskazuje jednak na to, ażeby Londyn czy Waszyngton dążyły do zmniejszenia napięcia, powstałego na skutek ogromnych różnic, dzielących mocarstwa na tle poważniejszych kwestii politycznych.

Mocarstwa zachodnie i Związek Sowiecki w rzeczywistości nie zgadzają się zupełnie na punkcie Bałkanów, Niemiec, Japonii, Persji i Chin.

Pożyczka udzielona przez Amerykę W. Brytanii również nie wpłynęła na stosunki dobrze. Moskwa uważa to „za finansowy kamień węgielny Bloku Zachodniego".

Rosja zabiegała o taką samą pożyczkę i otrzymała tylko sto milionów dolarów — niewiele w porównaniu do brytyjskiej pożyczki, wynoszącej jeden miliard sto milionów funtów.

Ogłoszona przez Bevin'a liczba członków misji do Moskwy mówi za siebie i wskazuje, że sprawa bomby atomowej będzie dyskutowana.

„Bomba atomowa nie jest już dla nikogo sekretem", powiedział niedawno urzędowy moskiewski mówca, „lecz Blok Zachodni chce tę tajemnicę utrzymać dla siebie".

Jest to typowy przykład rosyjskiej ironii.

Po tym nastąpił otwarty atak w rosyjskiej prasie, oskarżający Anglię i Amerykę o „zakłócenie pokoju".

Jest to, rozumie się, niesłuszne oskarżenie w stosunku do W. Brytanii, której trudności finansowe wykluczają możliwości budowy i prowadzenia „atomowych" zakładów fabrycznych.

Utrzymanie w ruchu istniejących już fabryk w Ameryce będzie kosztowało Stany Zjednoczone 125 milionów dolarów rocznie. Ponad 50.000 uczonych i innych pracowników zatrudnionych jest w tym dziale zbrojeń.

Niepewność i niejasność polityki ujemnie wpływa na wydajność amerykańskich zakładów atomowych. Naczelny dyrektor gen. Leslie K. Groves twierdzi, że należy niezwłocznie

utworzyć specjalny komitet, odpowiedzialny bezpośrednio przed Kongresem, który jedynie będzie posiadał prawo kontrolowania tego przemysłu. Gen. Groves dodał również, że byłoby bardzo nierozsądnie dzielić się tajemnicami ze wszystkimi naokoło, kto tylko takowych zażąda.

Jak wiadomo Francja i Chiny zostały wykluczone z obrad w Moskwie lecz Byrnes zapewnił oba rządy, że tylko problemy dotyczące trzech wielkich mocarstw będą tam dyskutowane.

Francuzi są jednak zdania, że w ten sposób bieg wypadków obróci się na jeszcze gorsze.

Korespondenci z Waszyngtonu podają następujące pięć punktów, które jakoby są dyskutowane w Moskwie.

1. Traktaty pokojowe.
2. Bliski i środkowy Wschód.
3. Bałkany.
4. Japonia.
5. Bomba atomowa.

Ani Bevin ani Byrnes nie pragną roztrząsać drobiazgowo powyższych tematów. Chcą oni osiągnąć ogólne porozumienie, oczyścić atmosferę z rosyjskich podejrzeń oraz otrzymać jasne i definitywne określenie żądań Rosji na wschodzie i na zachodzie.

Niektóre z obaw Rosji są wszystkim znane. Przede wszystkim mówi się w Moskwie o bombie atomowej, następnie o współdziałaniu brytyjskich i amerykańskich armii, co może wkrótce doprowadzić do wyznaczenia wspólnego sztabu generalnego, urzędującego w czasie pokoju. Po trzecie chodzi o niechęć Zachodu do uznania „rosyjskich interesów" na Bałkanach, na Wschodzie Europy i w Persji.

Nota marszałka Żukowa skierowana do reprezentantów marszałka Montgomery w Berlinie jest jeszcze inną sprawą. Oskarża ona Anglików o utrzymywanie półtora miliona wyćwiczonych niemieckich żołnierzy wraz z lotnictwem i jednostkami morskimi.

Moskwa w ten sposób to komentuje: „Cóż się kryje poza tą armią? Żywimy wielkie obawy z tego powodu".

Przed spotkaniem Atlee-Truman, Kreml sugerował anglo-amerykańsko-sowiecki traktat wojskowy, który mógłby utrzymać pokój i podtrzymywać Światową Radę Bezpieczeństwa

przy pomocy posiadanych przez te trzy państwa niezwyciężonych sił zbrojnych.

Od tego czasu jednak izolacjoniści w Moskwie wzięli górę i wyrażane są duże wątpliwości czy Kreml wejdzie w jakikolwiek alians z Zachodem.

Tymczasem pieniądz zaczyna grać rolę poza sceną moskiewskiej konferencji. Rząd sowiecki chce otrzymać od Ameryki większą pożyczkę. Jak dotąd wszelkie sugestie ze strony Moskwy na ten temat spotykały się w Waszyngtonie z chłodnym przyjęciem. Od chwili jednak udzielenia pożyczki Anglii, Rosjanie ponowili atak na amerykańskie worki ze złotem.

Minister Byrnes pragnie doprowadzić do sukcesu, albowiem ponowne niepowodzenie musi spowodować jego rezygnację ze stanowiska. Pragnie on również wciągnąć Moskwę do paktu zawartego w Bretton Wood. Może on przeto wyzyskać pragnienie Moskwy otrzymania pożyczki i uważa to za swój wielki atut, który można wygrywać poza sceną konferencji. Oczywiście oficjalnie na konferencji nie będzie się o tym mówiło.

Przed rozpoczęciem obrad szeroko mówiono, iż w razie jej niepowodzenia Rosja wystąpi z Organizacji Zjednoczonych Narodów. Rozumie się fakt ten zabiłby organizację prawie że w chwili jej narodzin. Brytyjski i amerykański rządy pragną przelać na organizację wszystkie międzynarodowe kwestie, rozstrzygane przedtem wspólnie przez Wielką Trójkę.

Dlatego to jest tyle chęci i pobożnych życzeń, ażeby konferencja moskiewska zakończyła się sukcesem. Było to nawet jednym z argumentów Byrnes'a, gdy namawiał Bevina do udania się do Moskwy.

Jeżeli będzie osiągnięte porozumienie co do głównych punktów i różnic, nawiązana zostanie dyskusja co do uznania wojny za bezprawie. Podobno Byrnes posiada w swej walizie szczegółowo opracowany plan jakiegoś superkellogowskiego paktu. Jak dotąd plan ten trzymany jest w tajemnicy, gdyż Biały Dom chce przedstawić go partnerom tylko w wypadku osiągnięcia porozumienia z Rosją.

Pakt powyższy byłby spełnieniem życzeń Rosji, która zawsze pragnęła, ażeby tylko wielkie mocarstwa trzymały świat w ryzach policyjnych i to ponad Światowym Komitetem Bezpieczeństwa.

Dlatego to Rosja nie zgodziła się na uczestniczenie Francji i Chin w moskiewskiej konferencji.

Sprawa bomby atomowej ma być rozstrzygnięta w ten sposób, że tylko Komitet złożony z przedstawicieli trzech mocarstw będzie posiadał prawo dysponowania tą świeżo wynalezioną energią.

Aczkolwiek wiele spraw było w Moskwie do omówienia, wydaje się jednak, iż na bombę atomową położono główny nacisk. Mołotow w żadnym wypadku nie zechce dopuścić do tej dyskusji Francji, Chin czy jakiegokolwiek innego państwa. Przetargi i dyskusje będą twarde i ciężkie. W Rosji panuje przekonanie, że jeżeli do porozumienia nie dojdzie i jeżeli Zachód nadal zechce utrzymywać sekret bomby dla siebie, wtedy cały świat wejdzie w erę fantastycznego wyścigu zbrojeń.

Bevin i Byrnes oczywiście nie będą się sprzeciwiali jakiemukolwiek planowi, dążącemu do zakończenia kryzysu i mogącemu wygładzić wielkie różnice, panujące pomiędzy Mocarstwami.

Lecz Bevin jest za bardziej demokratycznym rozwiązaniem. Jest on zwolennikiem utworzenia światowego parlamentu, który tylko i jedynie rozstrzygałby podstawowe światowe problemy. Nie chce on mieć w opozycji reszty świata sprzeciwiającego się dyktaturze trzech mocarstw.

Francja już dzisiaj rozgłasza, że w sześć miesięcy po ukończeniu wojny spadła do roli państwa neutralnego tracąc przywileje sojusznika. Minister Bidault stwierdził także, że nie uzna żadnych decyzji, uchwalonych poza plecami Francji. Turcja protestowała również i nie zgadza się na jakiekolwiek zmiany w Dardanelach, zdecydowane bez jej zgody.

I tak pomaleńku zbiera się na świecie burza. Większość z pośród 50 państw, które podpisały układ w San Francicso, podnosi bunt przeciwko trzem wielkim mocarstwom. Podkreślany jest nacisk na ustanawienie demokratycznego ustroju Organizacji Zjednoczonych Narodów, na szybsze zorga-

nizowanie konferencji pokojowej oraz o nawrót do haseł, przyjętych w San Francisco.

Wola Moskwy prowadzenia rozmowy przy zamkniętych szczelnie drzwiach i tylko pomiędzy przedstawicielami trzech mocarstw wywołała sprzeciw w całym świecie — uważane jest to bowiem za nawrót do polityki siły.

Musi się tylko znaleźć jakiś energiczny przywódca, który potrafi zjednoczyć „małych" przeciwko trzem „dużym".

Takim przywódcą może się okazać otyły, lecz żywy i wygadany australijski minister spraw zagranicznych Australii — dr. Evatt.

Podniósł on już swój głos w tej sprawie w czasie konferencji londyńskiej, a mocny protest z powodu wykluczenia Australii z układu pokojowego na Dalekim Wschodzie, zmusił ministra Byrnes'a do zmiany jego punktu widzenia.

Politycy międzynarodowi mają jednak nadzieję, że Ernest Bevin nie jest za dyktaturą „Trzech" i że będzie on popierał słuszne interesy mniejszych narodów. Te ostatnie znowu pragną, ażeby W. Brytania stała się szermierzem demokratycznych zasad.

Minister Bidault to właśnie miał na myśli, gdy prosił Bevina o obronę interesów Francji w Moskwie, a Bevin przyrzekł że nie podpisze nic, obchodzącego bezpośrednio Francję, bez uprzedniego porozumienia się z Paryżem.

Tyle co do polityki międzynarodowej. Warto wspomnieć jeszcze nieco o dalszym losie oskarżeń, skierowanych przez marszałka Żukowa przeciw marszałkowi Montgomery.

Sowiecka „dwójka" uważa się za jedną z najlepszych na świecie. Nie bardzo się jednak spisała przy odkrywaniu armii niemieckiej, rzekomo organizowanej w brytyjskiej zonie. Kreml twierdził, że prawie półtoramilionowa armia niemiecka jest zorganizowana i ćwiczona tam.

Marszałek Żukow zadeklarował w parę dni później, że przyjmuje do wiadomości odpowiedź i wyjaśnienia Montgomery'ego w tej sprawie. Moskwa jednak w 48 godzin później powtórzyła znowu swoje oskarżenia, wyśmiewając przy tym wyjaśnienia brytyjskie, twierdzące że armia ta istnieje tylko w wyobraźni rosyjskiej.

Prawda w artykule p.t. „Upiory i rzeczywistość" stwierdza, że oskarżenie rosyjskie nie zostało odparte. „Fakty są fakta-

mi i nic ich nie potrafi obalić", zakańcza urzędowy rosyjski dziennik.

A główny wyraziciel polityki Kremlu — niejaki Michał Michajłow ogłasza przez radio, że wrogowie Związku Sowieckiego są znowu czynni w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie.

„Ludzie z monachijską mentalnością, Zachodni Blok i Równowaga Sił" — są znowu na porządku dziennym. Szczególnie Turcy mają złą markę w Moskwie. Ambasador rosyjski w Ankarze nie dobierał pięknych słów, gdy składał protest w sprawie antysowieckich demonstracji w Ankarze, Smyrnie i Erzerum.

2. PIĘĆ PORTÓW

Czytelników naszych napewno zainteresują fakty historyczne brytyjskiej Navy, które mają związek z angielskim tytułem „Lord Warden of the Cinque Ports". Jest to zestawienie artykułu C. Fox Smith'a z miesięcznika BRITANNIA and EVE.

Jednym z najwyższych zaszczytów angielskich jest tytuł „Lorda Warden of the Cinque Ports". Tytułem tym zostali uhonorowani: admirał Blake, William Pitt, duke of Wellington, a ostatnio i Winston Churchill. Na przestrzeni dziesięciu wieków jego istnienia, w historii Anglii łączył się on z okresami największego niebezpieczeństwa, jak i najwyższej chwały dla Imperium Brytyjskiego.

W naszym rozumieniu tytuł ten brzmiałby mniej więcej „Strażnik (opiekun) pięciu portów".

Już w bardzo odległych czasach, bo jeszcze za panowania rzymskiego, południowo-wschodnie wybrzeża Anglii uważano za coś w rodzaju pięty Achillesowej. Pieczę i władzę nad tą częścią kraju sprawował wówczas hr. Saxon-Shore. Za panowania Edwarda III Wyznawcy (Edward the Confessor 1004 - 1066) i później Wiliama Zdobywcy (William the Conqueror do r. 1087) nadano specjalne przywileje miastom, t.zw. „Cinque Ports", czyli „Pięciu Portom", w nagrodę za zaopatrywanie i budowę statków dla służby króla. Prawa te

i przywileje jeszcze bardziej rozszerzono za panowania Jana (John'a 1167-1216), kiedy to ustanowiono t.zw. Konfederację Pięciu Portów. W skład jej wchodziły w hrabstwach Kent i Sussex miejscowości: Sandwich, Romney, Hastings, Hythe i Dover. Później dołączono do nich jeszcze miasta Rye i Winchelsea oraz pobliskie osiedla jak Fordwich, Faversham i Tenderten.

Większe miasta podjęły się samorzutnie budowy statków, oddając je na usługi króla. Pomoc ludności z mniejszych osiedli ograniczała się do urządzenia tychże. Załogę statków dobierano z najbitniejszych ludzi, nazywanych Portsmenami, pochodzących z tych miejscowości. Można twierdzić, że okres od panowania John'a aż do końca 14-go stulecia, zapoczątkował potęgę morską Anglii, a „Cinque Ports" stały się kolebką brytyjskiego panowania na morzach.

Poprzez cały 12-ty i 13-ty wiek, Portsmeni przemierzali na swych galerach wody Kanału, nierzadko trudniąc się korsarstwem. Były to czasy, w których siłę uznawano przed prawem, a ustawy pisane nie istniały. Trudno też było odróżnić jednostki floty pirackiej od sił morskich Jego Królewskiej Mości. W istocie bowiem jedni od drugich niczym się prawie nie różnili. Często też dochodziło do krwawych zamieszek między Portsmenami, a marynarzami z innych rejonów, jak Portsmouth i Southampton. Nieraz powody były bardzo błahe, bo nawet o beczułkę wody do picia. Portsmeni pobili się kiedyś z marynarzami z Normandii do tego stopnia, że awantura przerodziła się w regularną bitwę na wodach Kanału, dając zwycięstwo o wiele mniejszej flocie angielskiej. Często nazywano ich „Królewskimi Piratami". Piraci ci niejednokrotnie oddawali nieocenione usługi w służbie dla państwa. Największy swój triumf święcili w r. 1217 w dniu św. Bartłomieja, t.zw. w historii „Feast of St. Bartholomew". Wówczas to Delfinowi Francji, Ludwikowi, udało się wylądować w Anglii i zawładnąć częścią obszaru. Flota francuska, złożona z 80-ciu mniejszych i większych jednostek, czekała w Calais w szyku bojowym na rozkaz wypłynięcia, by przyjść z pomocą. Dowódcą tej Armady był renegat, przezwany „Eustace. the Monk". Rzucił on w swoim czasie śluby zakonne, stając i przewodząc szeregom piratów na żołdzie króla John'a. Po pewnym czasie jednak

porzucił służbę dla króla i stanął na czele band korsarskich, trudniących się grabieżą nadmorskich miejscowości. Znane są z kronik opisy wypraw pirackich na Hastings. Rye i Sandwich pod przewództwem byłego mnicha Eustachego. Wkrótce i te przygody go znudziły. Żądza władzy i łupów zagnała go do Francji. Tam stanął na czele flotylli, składającej się z 80-ciu statków, czekając z niecierpliwością sygnału, by zmierzyć się i pobić nieliczną, bo zaledwie z 36 jednostek składającą się flotę angielską.

W obliczu groźnego niebezpieczeństwa, Lord Strażnik Pięciu Portów, sędziwy, lecz nieugięty Hubert de Burgh, domagał się pomocy i posłuchania u biskupa Winchesteru i jego rycerzy. Niestety, nie tylko że jej nie uzyskał, ale dano mu opryskliwą odpowiedź. Biskup nie doceniał powagi chwili, odpowiadając w tych słowach: „Nie jesteśmy żołnierzami, ani też awanturnikami na morzach. Nie jesteśmy też rybakami, lecz skoro chcesz, możesz wyjść śmierci na spotkanie".

Portsmeni, nie bacząc na odmowę biskupa, postanowili sami stawić czoło groźbie inwazji. W blaskach sierpniowego słońca jaskrawą plamą odbijały się rozwinięte na wietrze czerwone żagle floty angielskiej. Po przeciwnej stronie, u wroga, głośnym, szyderczym śmiechem podniecał swe otoczenie zdrajca Eustachy, ciesząc się z pewnego zwycięstwa i wielkich łupów. Jednak niedługo to trwało. Flota królewska, w porę nastawiwszy swe żagle na pomyślne wiatry, na dany jej sygnał pierwsza wyruszyła do bitwy. Nie dostrzegł tego chytry prowodyr, gdy królewskie, małe zwinne stateczki zupełnie wroga okrążyły. Rozgorzała walka i posypały się śmiercionośne drzewce z kusz i łuków, siejąc zamęt na tyłach armady Francuzów. Jęki rannych i konających mieszały się z okrzykami zwycięzców, którzy walką wręcz kolejno zdobywali statek po statku. Ostatkami sił bronili się najeźdźcy w kurzach gryzącego w oczy pyłu wapna, ciskanego przez Anglików. Była to — jak się zdaje — pierwsza, a w skutkach dobrze zaimprowizowana walka chemiczna. Bój przyniósł kompletne zwycięstwo Portsmenom. Znaleziono i wywleczono z ukrycia zdrajcę Eustachego, który nie tracąc nadziei, wykrętnymi słowami i haraczem chciał ratować swe życie od niechybnej śmierci. Chwile jego były policzone.

Ryszard Fitzroy, dowódca flotylli angielskiej, a nieślubny syn króla John'a, jednym cięciem swej szabli odciął zdrajcy głowę. W ten to sposób Anglicy uniknęli inwazji, a na triumf zasłużyli sobie przede wszystkim Portsmeni przez samorzutną inicjatywę i sukces w walce z przeważającymi siłami wroga.

Wojny jednak nie ustały. W ciągu 13-go i 14-go stulecia dzielni Portsmeni osiągnęli szereg zwycięstw, walcząc dla dobra króla i własnych korzyści, jakie stąd ciągnęli. Do większych triumfów „Królewskich Piratów" należy pobicie Francuzów pod Sluys w r. 1340 za panowania Edwarda III. Sto pięćdziesiąt statków francuskich, przygotowanych na podbój Anglii, zatonęło w tej bitwie na burzliwych wodach Kanału Angielskiego. W tym też okresie, po raz pierwszy w historii, na wodach Kanału zmierzyły się dwie potęgi morskie, hiszpańska i angielska. Zwycięstwo przypadło Anglikom, a w zarodku unicestwiono ambicje Hiszpanów i ich chęci panowania na morzach. Szybkie i zwinne stateczki angielskie z łatwością pokonywały hiszpańskie kolosy, a spora ich liczba spoczęła na dnie zielonych wód Kanału.

Koniec XIV-go wieku stał się jednak zmierzchem chwały dla „Pięciu Portów". Nastąpiło to po części z powodu zamulenia portów w czasie przypływów. Niektóre z nich, tak jak port Sandwich, nawet w czasie przypływów i podniesienia stanu wody, nie pozwalał na żeglugę i groził uszkodzeniem statków. W innych rejonach, jak Romney i Winchelsea zamulenie wzrosło do tego stopnia, że niszczyło wszelkie urządzenia przybrzeżne. Niezależnie od tych faktów wzrastały też i potrzeby Anglii na morzach. Rozpoczęto budowę nowych, większych, różnorodnych statków, niezbędnych dla stosunków handlowych ze światem. Sprawiło to, że punkt ciężkości żeglugi morskiej rozszerzył się i przesunął do nowych rejonów. Wówczas to nastąpiły narodziny potężnej floty Marynarki Królewskiej (Royal Navy), a z nią rozbudowa takich portów jak Portsmouth i Southampton, co przyspieszyło kres świetności „Cinque Ports".

Dzisiaj, rozległe obszary bagienne dawnego portu Romney, czy też piaszczyste wydmy Rye i Winchelsea, po których tylko wiatr hula, mało nam przypominają minioną, a tak pełną życia i chwały przeszłość. Przemykające chmury,

jak widma zaginionych dawno statków, błądzą po bezkresach nieba. Czasem, gdy morze szum swój uciszy, zda się, że słychać głos zatopionej dzwonnicy osiedla, które kiedyś tam istniało. Fale coś szepczą, jakby się chciały podzielić tą wielką tajemnicą.

Choć wiele minęło bezpowrotnie, historia „Pięciu Portów“ przetrwała po dzień dzisiejszy- Tak jak ongiś były one wrotami, które strzegły spokoju i bezpieczeństwa wysp brytyjskich, tak i dzisiaj białe urwiska Dovru, poryte pociskami dalekonośnej broni nieprzyjacielskiej, chlubnie stawiły czoła nawale, być może jednej z najgroźniejszych w historii świata.

3. BIBLIA PANSLAWIZMU

Pod tym tytułem ukazał się w grudniu 1945 r. w miesięczniku THE NINETEENTH CENTURY AND AFTER artykuł M. Littmana. Jest to jeden z kilku ciekawych artykułów, opublikowanych w ostatnich miesiącach na temat protegowanego przez Związek Sowiecki „Panslawizmu“ w krajach, okupowanych przez Czerwoną Armię. Zachodnie demokracje, mimo wielu faktów historycznych, nie rozumieją, a być może nie chcą zrozumieć wielkiego niebezpieczeństwa, jakie przynieść może Panslawizm, tak wyraźnie zaszczepiany przez Związek Sowiecki w krajach o kulturze słowiańskiej od Morza Śródziemnego po Bałtyk.

Polacy znają ideę Panslawizmu zbyt dobrze! W swojej wielowiekowej historii kraj nasz, najeżdżany przez władców Wschodu, poznawał ją w różnych formach. W skutkach doprowadzało to do stałego kurczenia się obszarów Rzeczpospolitej, zagłady biologicznej, zacierania języka i kultury polskiej.

Polityka sowiecka w stosunku do narodów okupowanych opiera się wszelkim wpływom od zewnątrz, podobnie jak to niezmiennie miało miejsce w stosunku do narodów poprzednio ujarzmionych przez Moskwę. W stosunku do narodów

słowiańskich obecnie odnosi się to również do Bułgarów, Czechów, Jugosłowian i Polaków.

Znamienne były wypowiedzi Stalina do narodów Związku Sowieckiego z okazji zwycięskiego zakończenia wojny. W Związku Sowieckim twierdzi się, że Rosjanie nie tylko że zajmują czołowe miejsce pośród swoich ludów, ale obecnie są powołani do odegrania dominującej i decydującej roli wobec wszystkich bez wyjątku narodów słowiańskich.

Mołotow, przemawiając w czasie tej samej uroczystości i wyrażając swoje najwyższe uznanie dla Czerwonej Armii, specjalnie dziękował jej dowódcom i generałom za „oswobodzenie krajów słowiańskich". W mowie swej podkreślił, że na straży jedności ludów słowiańskich zawsze stać będzie zwycięska Czerwona Armia.

Tego rodzaju publiczne wypowiedzi kierowników polityki Związku Sowieckiego nie wymagają komentarzy. Jest to wyraźna groźba, skierowana do rządów i państw, które chciałyby wtrącać się w te zagadnienia.

Czy więc widmo Panslawizmu powraca? Czy istnieją ku temu jakiekolwiek moralne podstawy? Oto pytania, na które p. Littman chce odpowiedzieć .

Przede wszystkim w dociekaniach swoich odwołuje się do mało znanej w W. Brytanii książki rosyjskiego pisarza Mikołaja Danilevsky'ego pod tytułem „Rosja i Europa". W Rosji, dzieło to zwane „Biblią Panslawizmu", jest bardzo poczytne od 70-ciu lat. Śmiałe i bezkompromisowe wypowiedzi M. Danilevsky'ego przyjął Związek Sowiecki i systematycznie je realizuje. Nasilenie akcji w tym kierunku znacznie wzrosło obecnie przez okupację i wpływy Związku Sowieckiego w krajach środkowo-wschodniej i południowej Europy.

Zachód nie może być obojętny, gdy od Wschodu płynie nowa groźba wstrząsów i obawa przed zagładą cywilizacji w Europie, a być może i w całym świecie.

Autor książki, Mikołaj Danilevsky, urodził się w Rosji w r. 1822. Studiował botanikę na uniwersytecie w Petersburgu (Leningrad). Już od wczesnych lat stał się socjalistą-fourierystą. (Jest to francuska teoria socjalistyczna Karola Fourier (1772-1837), oparta na radykalnych zasadach). Podejrzany o współudział w aferze Petropavlovsky'go, w którą

był również zamieszany Dostojewski, zostaje skazany w r. 1849 na 3 miesiące więzienia w Petropavlovskiej twierdzy. Nie bez wpływu na życie Danilevsky'go był pobyt w więzieniu. Opuszcza je jako zagorzały nacjonalista i słowianofil. Do końca swego życia piastuje szereg posad państwowych. Wolny od zajęć czas Danilevsky spędza na pisaniu książek na różne tematy. I tak wydał dziełko „O wartości rubla", rozprawę o teorii Darwinizmu, o językach słowiańskich. Jedyną jednak wartościową pracą Danilevsky'go było dzieło „Rosja i Europa". Nie zdobyło ono sobie w początkach wydania szerszego zainteresowania intelektualnych kół rosyjskich. Wydane zostało po raz pierwszy w r. 1869 w wycinkach rosyjskiego dziennika „Zorza". W ciągu następnych 20-tu lat zostały wyczerpane dwa kolejne jego wydania. Dopiero w marcu 1888 r., kiedy ukazało się 3-cie wydanie, książka zdobyła nagły i niesłychany sukces, a nakład został wykupiony w ciągu niespełna sześciu miesięcy.

Danilevsky był przede wszystkim zagorzałym zwolennikiem Federacji Wszechsłowiańskiej pod przewodnictwem Rosji. Uważał, że w zasięgu jej wpływów winny znajdować się te państwa wschodniej i środkowej Europy, które dzisiaj po zakończeniu wojny, znajdują się poza żelazną kurtyną i pod czułą opieką czerwonej armii. Federacją tą nie obejmował on czasowo Polski oraz obecnej strefy okupacyjnej Niemiec i Austrii. Natomiast włączał w nią Grecję, a z obszarów Turcji rejon Konstantynopola i cieśniny Dardanelskie. Jego zdaniem z racji takiego układu sił pozostała część Europy nie miałaby powodów do jakichkolwiek obaw. Uznawał za rzecz naturalną dążenie Rosji do stopniowego, lecz systematycznego wprowadzenia sposobu życia, kultury i języka rosyjskiego w jej strefie wpływów i działania. Twierdził on, że tego rodzaju blok zapewniłby dla reszty Europy spokój i bezpieczeństwo.

W dalszych rozważaniach dochodzi jednak do wniosku, że utworzenie tak rozległej Federacji jest możliwe tylko w powszechnej wojnie, z której Rosja wyjdzie zwycięsko. Ciekawy jest układ proponowanej Federacji. Związek Państw Słowiańskich składałby się z 8-miu części, z których pierwszą, największą, byłaby Rosja. Ta nowa Rosja wchłonęłaby Finlandię, kraje Bałtyckie, Białoruś, Małopolskę, Besarabię,

części Bukowiny i Węgier, zamieszkałe przez ludność ruską, lub pokrewną. Te ostatnie rejony uważał za szczególnie ważne, a to ze względu na ich strategiczne położenie w stosunku do Karpat, poprzez które wiodą szlaki na Bałkany.

Drugą grupę tworzyłyby narody Królestwa Serbsko-Kroacko-Słoweńskiego, pokrywającego się z państwem Jugosłowiańskim w granicach z 1939 r., z dodatkiem Istrii wraz z Triestem, do których—jak wiemy—zgłasza pretensje Tito.

Trzecią część stanowiłyby obszary Czech-Moraw-Słowacji, przypominające przedwojenną Czechosłowację, jednak bez Rusi Zakarpackiej, która mieściłaby się w granicach Rosji.

Czwartą część tworzyłyby Bułgaria z szerokimi połaciami obszarów przyległej Rumelii i Macedonii.

Piątą grupę — Grecja, szóstą Węgry, siódmą Rumunia oraz ósmą rejony wokół Konstantynopola wraz z cieśninami Dardanelskimi. Włączenie Polski do Federacji nastąpiłoby z biegiem czasu przez wytworzone naciski i warunki ekonomiczne.

Zastanawiać nas może dlaczego Panslawizm miałby istnieć, właśnie pod przewództwem Związku Sowieckiego? W pracy Danilevsky'go znajdujemy podwójne rozwiązanie. Po pierwsze miałoby to zabezpieczyć i chronić mniejszości słowiańskie, zamieszkałe na obszarach Cesarstwa Niemieckiego, Austro-Węgier i Turcji. Powtóre wymaga tego rzeczywistość, a to ze względu na specjalne właściwości i zalety kultury słowiańskiej. W rozumowaniach swoich M. Danilevsky czyni szczególnie głęboki rozdział dla podkreślenia odrębności kultury rosyjskiej od cywilizacji europejskiej. Z pełnym oburzeniem i pogardą ośmiesza on wszelkie wysiłki Zachodu, starającego się przekonać świat, że Rosja jest tylko środkiem do cofnięcia kultury zachodniej do poziomu swego i do nędznego życia mongolskich włóczęgów i obszarpanych analfabetów Centralnej Azji. Przyznaje on coprawda, że pewne państwa, które chciałby widzieć w orbicie Związku Wszechsłowiańskiego, złączone są ścisłymi więzami z kulturą zachodnią. Jednak uważa, że są to czynniki bez znaczenia i twierdzi, że Słowianie w gruncie rzeczy prawie niczym się między sobą nie różnią, a w ich własnym interesie leży zjednoczenie się przeciwko ludom Zachodu. W swym rozumowaniu autor uważa Niemców za głównych wrogów.

Jednak twierdzi, że prędzej czy później Rosja będzie musiała rozprawić się również i z innymi narodami na Zachodzie.

Niepodległe państwa i samostanowiące o sobie narody, jego zdaniem, są zjawiskiem przemijającym. Podstawę ich działalności usprawiedliwiają jedynie warunki i wymogi, konieczne dla ich egzystencji. Utylitaryzm Benthama, czyli zasada wyciągnięcia jak największych korzyści, to jedyna fundamentalna prawda w stosunkach międzynarodowych i w życiu pomiędzy państwami.

Nie może być miejsca na miłość i poświęcenie. Takim akcentem kończy swe dociekania autor dzieła „Rosja i Europa".

W oczach czytelników tej książki, przepojonej duchem skrajnego nacjonalizmu, określenia autora, jak np. „Europa nie istnieje, jest tylko zachodni półwysep Azji", budzić muszą w każdym z nas obawy o lepsze jutro. Przyszłość niestety w niezbyt różowych maluje się barwach, a świat stanął na rozdrożu i nie wie jaką ma obrać drogę.

4. „ODDZIAŁYWANIE MYŚLI LUDZKICH"

W artykule pióra Elliott O'Donnell'a, ogłoszonym w OCCULT REVIEW, możemy znaleźć wytłumaczenie tak wielu znanych nam opowiadań o „duchach".

Myśl ludzką możnaby określić, jako ucieleśnienie się w eterze jakiejś materii. Tak jak materia jest czymś niezniszczalnym, bardzo możliwe, że dzieje się podobnie i z myślą ludzką. Myśl więc, czy też pojęcie myśli może trwać i prawdopodobnie trwa w niewidzialnej formie przez pewien nieokreślony czas. Jest również możliwe, że pierwotna forma myśli pozostanie niezmieniona, lub że z biegiem czasu zmieni się i to nawet w znacznym stopniu.

Jest stwierdzone, że natura obdarzyła niektóre zwierzęta lepszym, bystrzejszym wzrokiem. Jedne widzą doskonale w ciemnościach, drugie znowu dostrzegają lepiej przedmioty na dalszą odległość, gdy inne natomiast po prostu nie są w stanie ich zobaczyć.

Teleskop w połączeniu z płytą fotograficzną, ponad wszelką wątpliwość udowadnia istnienie w przestworzach wielu gwiazd, których oko ludzkie nie jest w stanie dosięgnąć i rozróżnić. Możliwości teleskopu i innych pokrewnych urządzeń technicznych w pracy swej bowiem są zawsze ograniczone, a nie mogą one odróżniać tej osobliwej, ludzkiej wrażliwości i siły myśli, którymi obdarzony jest człowiek.

Jeżeli chodzi o myśl ludzką, to można twierdzić, że czasem natężenie jej jest tak silne i wyobraźnia tak wielka, iż może ona przybierać konkretne formy w postaci „zjaw", które często mylnie interpretujemy jako fizyczny fenomen.

Dla przykładu podajemy autentyczny wypadek, który wydarzył się kilka lat temu w pewnym domu w południowej Irlandii. W domu tym przez długi okres czasu i to w różnych porach dnia, widziano „zjawę" małego chłopca, zawsze wesołego i czyniącego wrażenie, jakby się z kimś bawił naokoło łóżka w jednym z sypialnych pokoi tego domu. Pewnego dnia do owego domu przybył jakiś starszy dżentelmen, prosząc o pozwolenie obejrzenia go. Twierdził, że spędził tu wczesne lata swego dzieciństwa i chciałby przypomnieć sobie stare, a tak drogie chwile. Właścicielka domu z chęcią oprowadzała przybysza po mieszkaniu, a kiedy znaleźli się w pokoju, o którym domownicy wiedzieli, że jest nawiedzany przez zjawy, nieznajomy powiedział: „To jest mój pokój, który w dzieciństwie najbardziej lubiłem. Pamiętam, jak bawiliśmy się tutaj z moją małą siostrzyczką, a jedną z naszych ulubionych zabaw była gonitwa naokoło łóżka. Nawet łóżko moje stało w tym samym miejscu". — Właścicielkę ta opowieść zadziwiła, gdyż mogła ona mieć związek z ukazującą się zjawą. Na pożegnanie poprosiła nieznajomego o przesłanie jego fotografii z lat dziecinnych. W ten przypadkowy sposób został zidentyfikowany rzekomy „duch", który od wielu lat nawiedzał dom nowych właścicieli.

Jakież wyciągnąć z tego wnioski. Czyż nie możnaby przypuszczać, że to siła myśli przybrała pewną formę i określmy to — utrwaliła się w atmosferze pokoju i tam przetrwała, materializując się w różnych okresach czasu. Fakt, że myśl realizowała się jedynie w kształty chłopca wskazuje na to, że pamięć o chwilach dzieciństwa żyła tylko w chłopcu, ale zanikła w jego siostrzyczce, stałej towarzyszce zabaw.

A oto inne zdarzenie, jakie miało miejsce w pewnym mieszkaniu przy St. James Wood w Londynie. Opowiadała je pewna osoba, dzieląca mieszkanie ze swoją znajomą, Izabelą. Izabela, z powodu doznanego zawodu w miłości, poważnie się rozchorowała, a lekarz w czasie rekonwalescencji zalecił jej zmianę otoczenia. Wyjechały więc z Londynu, udając się na pewien czas do Normandii. Po powrocie na stare miejsce zamieszkania dowiedziały się, że pokoju Izabeli nie można było używać, gdyż jak twierdzono — straszyło w nim. Co noc bowiem słyszano dochodzące z tego pokoju przejmujące szlochy i wołania: Konrad, Konrad... Było to właśnie imię narzeczonego Izabeli, która je w czasie choroby często wymawiała.

Nie ulega wątpliwości, że pewien procent t.zw. „zjaw, strachów", to właśnie myśli ludzkie, których siła jest tak wielka, że są w stanie przybrać konkretne, zmaterializowane formy. Również faktem jest, że „widziadła" pojawiają się często ubrane, wykonują różne czynności, a równocześnie nie odczuwają obecności obcego człowieka, który je obserwuje. To również wskazywałoby raczej na to, że nie są to jakieś „duchy", lecz czyjeś zmaterializowane myśli.

Znane są jeszcze inne wypadki, np.:

O niektórych miejscach i domach mówi się, że są nieszczęśliwe, że każdego, kto w nich zamieszka, spotkać musi coś przykrego. Bywają wypadki, że osoby po wprowadzeniu się do takiego domu, zaczynają się bez powodów sprzeczać i wzajemnie sobie dokuczać . Bezwolnie zaczynają wpadać w jakieś nałogi, do których przedtem nie miały żadnych skłonności. Liczba takich nieszczęśliwych domów i miejsc, tak w W. Brytanii jak i w innych krajach, jest dość spora. Rzeczywistość tę możnaby sobie wytłumaczyć tym, że fluidy, nagromadzone w eterze, a otaczające dane miejsca, prawdopodobnie są wynikiem silnych i nieustających myśli ich poprzedników.

Na ten temat niejeden z nas osobiście, lub z opowiadania, zna szereg podobnych, a ciekawych wydarzeń, które były i są godne zastanowienia. Wiedza ludzka wielu takich zjawisk nie potrafiła konkretnie rozwiązać i są one w dalszym ciągu dociekane i badane przez wielu okultystów.

5. PROBLEMY W KENYI

Śmiałą, a trafną ocenę podaje LEO ABSE w miesięczniku WALES.

W Kenyi dwa tysiące osadników posiada więcej ziemi, aniżeli ma je dwa miliony tubylców. Dzisiaj w Afryce biały kolonista jest ziemią przesycony, gdy czarny cierpi jej głód. Biały odepchnął czarnego, by utrzymać prym i pełną władzę w swoich rękach. Przede wszystkim nie dopuszcza tubylca, ażeby stał się samowystarczalnym. Tylko szeroka zorganizowana pomoc w pracy przy uprawie zawładniętymi obszarami przez białych, może dać pozytywne rezultaty. Biały umie wyzyskać właściwości i bogactwa przyrody, ale udostępnia to tylko częściowo czarnemu.

Tubylców obciąża się specjalnymi podatkami. Płacić go muszą wszyscy mężczyźni, zdolni do pracy. To też, aby zdobyć pieniądze na opłacenie podatku, muszą oni ciężko pracować. Wojna dała wprost olbrzymie zyski białym osadnikom, uprawiającym plantacje herbaty, hodującym różne nasiona oraz specjalne krzewy wiklinowe. Wszystkie te artykuły miały znaczne rynki zbytu w czasie wojny. Co prawda podatki dochodowe wzrosły sześciokrotnie, mimo, że zasadniczy podatek dochodowy został tylko zdwojony, t.j. wynosi 2 szyl. od funta. W ten sposób jedynym ograniczeniem zysków stała się praca. To też osadnicy dążyli do nałożenia specjalnego podatku od pracy na ziemi i to im się udało przeprowadzić.

W brytyjskiej Izbie Gmin dowiedziano się, że tylko dwadzieścia tysięcy czarnych pracowników podlega temu opodatkowaniu. Odpowiadało to prawdzie, gdyż wynagrodzenie za pracę czarnych wynosiło zaledwie od 9-ciu do 12-tu szylingów miesięcznie. Czarny pracownik, chcąc wyżyć i opłacić ciężary podatkowe, był zmuszony do szukania dodatkowej pracy na wolnym rynku, ażeby zdobyć parę szylingów więcej. Jednak nie wszystkie pociągnięcia kolonistów były trafne i przewidujące, bo zapomnieli oni o jednym. Przyjęli oni tyle miejscowych rąk do pracy, że często nie starczyło nawet nasion do sadzenia, a na dodatek susze zwięk-

szyły kryzys. W pogoni za łatwym i szybkim zyskiem, nieraz biały zapominał o nagromadzeniu i zabezpieczeniu żywności dla swych pracowników. Z braku wyżywienia musieli oni powracać do swych domów bez jakiegokolwiek zaopatrzenia. Panował głód i wiele tysięcy czarnych wymarło. Ten stan jeszcze bardziej spotęgował silny antagonizm pomiędzy białym przybyszem a czarnym tubylcą. Codziennie widziało się w Kenyi, na ulicach młodych chłopców, odzianych w łachmany, ze zniszczonymi elementarzami, słownikami lub angielską gramatyką w ręku. Ich żądza wiedzy miała w sobie coś imponującego. Wieczorami, przy rozniеconych ogniskach, zasłuchane audytorium łowiło chciwie każde słowo recytującego na pamięć nieraz całe artykuły z „Picture Post" lub innych tygodników. Jeśli się weźmie pod uwagę beznadziejnie małe i nierówne szanse edukacji, na jakie stać Afrykańczyków, ich zapał do wiedzy i nauki musi zawstydzić każdego białego przybysza. Życie białego w koloniach nie nastręcza wielu trosk, a jako przykład może służyć fakt, że wydaje on więcej pieniędzy na wszelkiego rodzaju trunki, aniżeli wynosi cały budżet rządowy, przeznaczony na oświatę dla tubylców. Jeszcze przed wojną wielu wykwalifikowanych, czarnych nauczycieli z powodu uniemożliwienia im zajęcia stanowisk w swoim zawodzie, wolało kończyć studia w Cardiff, zdobywając tytuły „Master of Arts", aniżeli wegetować w próżniactwie

Wielkie są potrzeby wiedzy dla wielomilionowych rzesz czarnych, żyjących na tych obszarach. Osiedli na tych ziemiach koloniści, jednakże obawiają się konsekwencji jakie mogłyby wyniknąć, gdyby czarni dorównali im doświadczeniem i wiedzą. To też jak mogą utrudniają pracę misjonarzom, którzy nietylko, że znają niedolę i braki tubylców, ale wszędzie chętnie spieszą im z energiczną i szczerą pomocą.

Znaczna część kolonistów, osiadłych na tych ziemiach, to różni bezpańsiwowi obywatele z czasów dominacji hitlerowskich Niemiec w Europie. Jest też wielu spośród nich potomków dzielnych Boerów z południowej Afryki, jednakże przybysze ci w znacznych odsetkach są obecnie analfabetami i bez zawodów. Inni, jak np. Brytyjczycy, pochodzą ze sfer, które ktoś dowcipnie nazwał małomieszczańską arystokracją. Jeśli natomiast przyjrzymy się obszarnikom w Kenyi,

to można o nich powiedzieć, że zbyt dobrze pamiętają o wszystkich swoich przywilejach, a zupełnie zapominają o obowiązkach wobec tubylców i najemnych pracowników.

Miniona wojna przyniosła nowe zmiany i nowe niebezpieczeństwa dla kolonistów. Armie, wchłonąwszy w swoje szeregi liczne rzesze Afrykańczyków, dały im możność zetknięcia się z innym światem, prawdziwą wolnością i demokracją, jakiej nie znali przedtem. Wynagrodzenie, jakie otrzymywali w wojsku, było wielokrotnie wyższe od stawek, osiągalnych w pracy na ziemi ojczystej. Przeszkolenie wojskowe, opieka lekarska i wiele innych udogodnień, dały tym ludziom znacznie szerszy światopogląd. Wielu z nich w formacjach wojskowych przemierzyło różne części świata oraz poznało nowe zwyczaje i obyczaje. Wojsko nauczyło ich wielu zawodów, które z powodzeniem mogą być wykorzystane w życiu cywilnym. Kolonistę niepokoi fakt, gdy widzi zdemobilizowanego czarnego żołnierza, który powraca do osiedla i podejmuje samodzielną pracę. Inicjatywa czarnego zatacza coraz szersze kręgi i czyni on zdecydowane zabiegi o wprowadzenie swych godnych przedstawicieli do „Legislative Council" (Rada Prawodawcza). Chce on mieć takich przedstawicieli, którzy potrafili by bronić interesów jego w Brytyjskim Parlamencie w nadchodzącym czasie pokojowym.

Zanim nastąpi możliwa stabilizacja stosunków, wiele trzeba będzie pokonać przeciwności, złej woli i braku zrozumienia dla wielomilionowych mas czarnych. Brytyjskie Imperium to nie uproszczone określenie imperializmu i monopolu kapitalistów lecz, uczciwe podejście do różnych problemów, być może niełatwych, ale z biegiem czasu nadających się i koniecznych do rozwiązania.

6. WARTOŚĆ WIELBŁĄDA DLA CZŁOWIEKA

Interesujące opowiadanie podaje F. W. Galloway w czasopiśmie SYNOPSIS, pod tytułem „You cannot love a camel".

Wielbłąda znamy jako zwierzę pustyni zawsze pełne złośliwości, utajonej niechęci i protestu wobec woli człowieka.

Być może, nie przebacza on człowiekowi, — tak jak mówi legenda — że przed wielu laty złapano go w bezkresnych piaskach pustyni, skrępowano powrozem i przywleczono do osiedli ludzkich. Stał się niewolnikiem na rzecz pracy człowieka, a złe usposobienie przekazał odtąd wszystkim swoim nieurodziwym następcom. Niewielu z nas miało możność podpatrzenia życia wielbłądów na bezkresach pustyni, kiedy po uciążliwym, pełnym skwaru dniu odpoczywa, rusza w drogę, czy układa się do snu. Wydawaćby się mogło, że po długim, dziennym wypoczynku na dobrze wybranych i przygotowanych legowiskach, wielbłądy raźnie wstają do pracy. Kto jednak zna pustynię, jej życie i dziwy, wie, że jest inaczej. Wielbłąd, ź wrodzonym lenistwem zawsze opiera się wykonaniu jakiejkolwiek pracy. Już na sam widok zbliżającego się człowieka rozlegają się zewsząd wielbłądzie pomruki, które swym dźwiękiem przypominają jakieś dziwne łkania. Głośnymi wrzaskami objawiają swe niezadowolenie, kiedy zmusza się je do przyklęknięcia dla przytroczenia ładunku. Często usiłują ugryźć obsługującego. Westchnienia ulgi i jakby zadowolenia wydobywają się z ich gardzieli, jeśli obsługa składa ładunki na grzbiety innych towarzyszy. Złośliwymi oczami wodzą dokoła, jak gdyby chciały wypowiedzieć i pożalić się, że ciężar, składany na ich grzbietach jest zbyt wielki. Zgodnym chórem pomruków bronią się przed powstaniem z legowisk, kiełznaniem i przygotowaniem do marszu. Zawsze z wielką rezygnacją podejmują dalszą drogę, a gdy ruszą, suną długimi krokami swych smukłych nóg, zatapiając kopyta w rozżarzonym, wielobarwnym piasku. Tak karawana rusza na dalszy etap swego szlaku. Przeciętnie wielbłądy przechodzą po suchych szlakach dwie mile na godzinę i to bez względu na długość przemarszu. Zdarza się, że karawana przechodzić musi przez szlaki bagniste. Wówczas jest wiele kłopotów i nie obywa się bez wypadków. Wielbłądy, ślizgając się po mule, nie mogą utrzymać równowagi, przewracają się i niszczą lub uszkadzają cenne przedmioty, przytroczone do ich grzbietów.

Jest pewna różnica między wielbłądem, przeznaczonym na juka, a jego rówieśnikiem dla jazdy wierzchem. Do tego celu nadaje się specjalny gatunek wielbłądów, zwanych „bisharin". Są one z natury obdarzone większym tempera-

mentem oraz inną budową. Z łatwością kłusują, przebywając w niezmienionym tempie dwanaście mil na godzinę przez kilka lub nawet kilkanaście godzin. Jeździec musi go jednak podpędzać biczyskiem i to tak długo, dopóki nie pokona w wielbłądzie uporu i niechęci do ruchu.

W tego rodzaju środki lokomocji są wyposażone na pewnych szlakach oddziały policji pustynnej. Wielbłądy, wytypowane do jazdy wierzchem, są otaczane troskliwą opieką, czysto utrzymywane tak, że nie roztaczają wstrętnej, ostrej woni drażniącej powonienie człowieka. Jest to nieuniknioniony mankament jucznych wielbłądów, które ogólnie tej troskliwej opieki mieć nie mogą. Praca nad oswojeniem i przysposobieniem wielbłąda dla potrzeb człowieka nie we wszystkich kierunkach może dać rezultaty. Niektóre niedomagania wynikają wprost z właściwości fizycznych. U wielbłąda przy pracy żołądka słyszy się bulgotanie, a równocześnie pojawia się w pysku znaczna ilość zielonej cieczy. Część tej cieczy spływa po wargach, a resztę wchłania z powrotem organizm. Człowiek, znajdujący się w pobliżu, może być opluty tą cuchnącą mazią.

Z życia i zwyczajów wielbłądów znane są różne ciekawe opowiadania, a przede wszystkim są one tematem dla tych, którzy z ich usług korzystają. W policji pustynnej w Rajputanie wyróżniał się w swoim czasie wielbłąd, nazwany Belzebubem. Znany był on ze swej złośliwości i uporu. W szyku jezdnym rwał do przodu, gryzł wszystko, co tylko pyskiem potrafił dosięgnąć. Prócz swego opiekuna nikomu nie pozwalał się zbliżać i dosiadać siebie. Często, dając upust swej złości, łapał jeźdźca za ubranie, a jeśli mu się to udało, darł je na strzępy. Znane były jego objawy uprzedzenia do osób odświętnie ubranych, a gdy miał ku temu okazję, z pełną złośliwością opluwał ludzi. Pewnego dnia, w czasie polowania, postrzelono daniela. Przez przeszło godzinę poszukiwało go wielu strażników, ale nie udało się im wpaść na ślad rannego zwierzęcia. Wczesnym rankiem wysłano Belzebuba z jego strażnikiem na poszukiwania. Dopiero późnym wieczorem powrócili oni z łupem. Okazało się, że musieli przemierzyć ponad sto mil, przekraczając granice jednego z tubylczych państewek.

Wielbłądy, tak jak i słonie, nie lubią w swoim otoczeniu koni i psów. Zdarzyło się kiedyś na postoju, że pies pokąsał wielbłąda. Wielbłąd jednak nie zapomniał o wyrządzonej krzywdzie i w kilka dni później, gdy nadarzyła się okazja, nawet będąc w ruchu, dosięgnął swego sprawcę i z łatwością roztrzaskał mu łeb. Częste są podobne zemsty również i na ludziach.

Wielbłąda nie można polubić, jednak dla zalet i usług, jakie oddaje człowiekowi, zasłużył on sobie na jego pieczę. Wielka odporność na niewygody, łatwe i skromne wyżywienie, wytrzymałość na pragnienie, oto wielkie walory, które jeszcze przez lat wiele przez coś innego nie mogą być zastąpione na pustyni. Zna je dobrze człowiek, który dla swych potrzeb oswoił i przystosował to mało urocze stworzenie. Pewnie odczuwa to też i wielbłąd, świadomy swych walorów, a tak oporny woli ludzkiej.

7. CZY WIECIE ŻE...?

Lady Montgomery jest matką pięciu synów. Jedni są żołnierzami, drudzy obrali sobie za zawód stan kapłański. O wszystkich narówni opowiada z wiedlką dumą i uczuciem, nie wyróżniając zupełnie jednego z nich, mianowicie marszałka Sir Bernarda Montgomery. Lady Montgomery wyszła wcześnie zamąż i początkowe jej życie biegło w bardzo skromnych warunkach. Niełatwe to było zadaniem wyżywić i utrzymać gromadkę młodych zuchów ze skromnej pensji pastora. Nie było też czasu ani pieniędzy na zbytki. Mąż jej w późniejszych latach swego życia otrzymał stanowisko biskupa Tasmanii. Pojawienie się rodziny Montgomery'ch wywołało wiele komentarzy pośród plotkującej, snobistycznej kolonii jego diecezji. Nie mogli oni zapomnieć faktu, że długą drogę z Anglii na miejsce nowego urzędu, rodzina biskupa odbyła 3-cią klasą, a nie 1-szą. Było to tematem złośliwych dowcipów przez długi okres czasu.

— *Woman's Magazine* —

Edited and published in Edinburgh by J. Stoliński, 40 Bruntsfield Pl.
Printed by John S. Burns & Sons, Glasgow, C.3.